



Raphael Saadiq
The Way I See It

Sony 2009

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

Raphael Saadiq dostał od losu możliwość gry w zespole Prince'a jako bardzo młody człowiek. Był to przełomowy moment w jego życiu. Wkrótce potem założył bowiem zespół Tony! Toni! Tone!, który na przełomie lat 80. i 90. zdobył znaczną popularność, wylansował sporo hitów i sprzedał wiele milionów płyt.

U szczytu sławy Saadiq opuścił grupę i wybrał karierę solową. Jego późniejsze losy układały się w swoistą sinusoidę, znaczoną wzlotami i upadkami. Myślę, że „The Way I See It” powinna się znaleźć na krzywej wznoszącej, bo nie tylko zawiera sporo dobrych utworów, ale jeszcze słyszymy tu znamienitych gości, jak Stevie Wonder czy Joss Stone.

Piszę: „powinna się znaleźć”, ale nie jestem pewny, czy tak będzie. Nowy album Raphaela Saadiqa to bowiem radykalny krok w stronę soulu lat 60. Jeśli ktoś lubi piosenki nagrywane przez firmę Motown w tamtej dekadzie, będzie tą pozycją zachwycony. Podobno nie można cofnąć czasu, ale po wysłuchaniu „The Way I See It” przestaje to być takie oczywiste. Charakterystyczny głos, chórki, brzmienie gitary, sekcja rytmiczna – wszystko wskrzesza tzw. Motown sound niemal idealnie. W dodatku kilka piosenek to murowane przeboje. A czy dzisiejszy słuchacz, wychowany na hip-hopie, r'n'b czy białych gwiazdkach popu, będzie chciał tego słuchać – to już inna sprawa. ■

Marek Romański



Graham Coxon
The Spinning Top

Transgressive Records 2009

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

Grahama Coxona słuchacze znają zapewne z formacji Blur, w której pełnił przede wszystkim rolę gitarzysty i wokalisty. Mimo stałej współpracy z angielskim zespołem udawało mu się znaleźć czas na samodzielne projekty.

„The Spinning Top” to już siódmy album firmowany jego nazwiskiem. O ile poprzednie były dość dynamiczne, często z przesterowanymi gitarami i przetworzonym głosem, o tyle najnowsza propozycja urzeka spokojem i naturalnymi dźwiękami. Choć nie zabrakło kilku piosenek zagranych nieco żywiej, czego przykładem „Dead Bees”, zdecydowanie przeważa stylistyka zbliżona do folkowej.

Pierwsze dwie kompozycje Coxon wykonuje sam, przygrywając sobie na akustycznych gitarach, basie, saksofonie i perkusji. W pozostałych towarzyszą mu inni muzycy, ale nadal króluje nastrojowa atmosfera. Taki akustyczny folk z brit-popowym zacięciem. Jeśli miałbym wyróżnić któryś utwór, to ostatni, zatytułowany „November”. Wprawdzie rozkręca się wolno, ale pod koniec łni już pełnym blaskiem.

Płyta nie spektakularna, zwłaszcza jak na artystę formatu Coxona, za to równa i urocza. Zastrzeżenia można mieć tylko do falsetów, szczególnie w „In the Morning”, oraz do dwóch kompozycji („Dead Bees” i „Humble Man”), odbiegających od stylistycznej konwencji całości. Poza tym – wszystko gra. ■

Grzegorz Walenda



Stefanie Heinzmann
Masterplan

Magic Records 2009

Dystrybucja: Universal Music

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

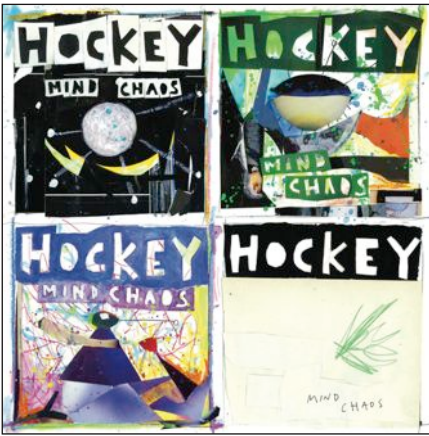
Stefanie Heinzmann to 20-letnia wokalistka ze Szwajcarii. Jej utwór „My Man Is A Mean Man” dotarł w 2007 roku na szczyt listy przebojów w jej ojczyźnie i aż do trzeciego miejsca w Niemczech. Po przebojowym singlu przyszła pora na debiutancki album. „Masterplan” jest kolejnym dowodem na to, że młodzi potrafią.

Gdy posłuchamy pierwszego nagrania, zaczynamy podejrzewać, że za całym przedsięwzięciem rzeczywiście kryje się jakiś misterny plan. Otwierająca płytę kompozycja pochodzi bowiem z repertuaru Metalliki – to słynny „The Unforgiven”. W soulowym coverze tego hitu piosenkarka wypada naprawdę przyzwoicie.

„Like A Bullet” odsyła słuchaczy do stylistyki gitarowych grup z wczesnych lat 60. Zresztą nie tylko przy tym nagraniu czujemy się tak, jakbyśmy się cofnęli w czasie. „Masterplan” to mieszanka soulu, rhythm and bluesa oraz innych stylów, które królowały na listach przebojów 40 lat temu. Natomiast głos Heinzmann raz jest bluesowy, to znowu przypomina wokalistykę Dianę Ross.

Bohaterka płyty sprawnie sobie radzi z wymagającym repertuarem. Może jeszcze nie tak dobrze jak jej bardziej znane i doświadczone koleżanki, ale melomani powinni być usatysfakcjonowani, że „Masterplan” doczekał się realizacji. ■

Grzegorz Walenda



Hockey Mind Chaos

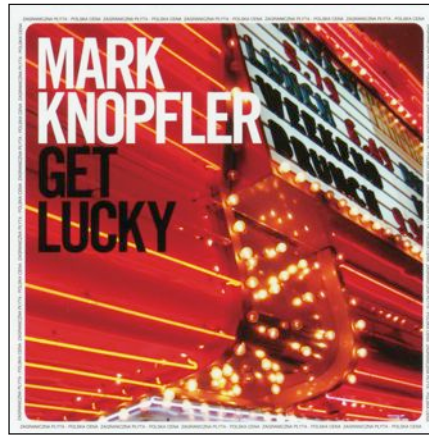
EMI 2009

Muzyka: ●●●○○
Realizacja: ●●●●○

Polowanie na grupy gitarowe, które potrafią łączyć rockową zadziorność z taneczną energią, trwa. Amerykańska formacja Hockey weszła na rynek na początku roku przebojem „Too Fake” i zebrała w prasie porównania z takimi uznanymi zespołami, jak The Strokes i LCD Soundsystem. Jak się wydaje, dotyczyły one raczej kopiowania ich stylu niż oryginalności. Potem muzycy umacniali swoją pozycję kolejnymi singlami, m.in. beztróskim funkowym „Learn to Love” oraz występami na najważniejszych festiwalach po obu stronach oceanu.

Wreszcie przyszedł czas na album „Mind Chaos”, który już nie wzbudził równie dużego entuzjazmu. O ile grupa świetnie się orientuje w obecnych trendach i potrafi być bezwstydnie popowa, o tyle ciągle brakuje jej własnego stylu i wyrównanego poziomu utworów. Planowany na kolejny singiel „Song Away” jest jedynie kiczowatym hołdem złożonym Talking Heads. W „Wanna Be Black” wokalista Benjamin Grubin, który charakteryzuje się nieco histeryczną manierą, niespodziewanie zaczyna rapować, a w balladzie „Four Holy Photos” naśladuje Boba Dylana. Może i członkowie Hockey mają równie dużo tytułowego „chaosu w głowie” i nonszalancji co Scissors Sisters czy MGMT i potrafią łączyć wszystko ze wszystkim. Niestety, brak im podobnej błyskotliwości – w związku z tym obcowanie z tą płytą zwyczajnie męczący. ■

Jacek Skolimowski



Mark Knopfler Get Lucky

Will D. Side Limited 2009

Dystrybucja: Universal Music

Muzyka: ●●○○○
Realizacja: ●●●●○

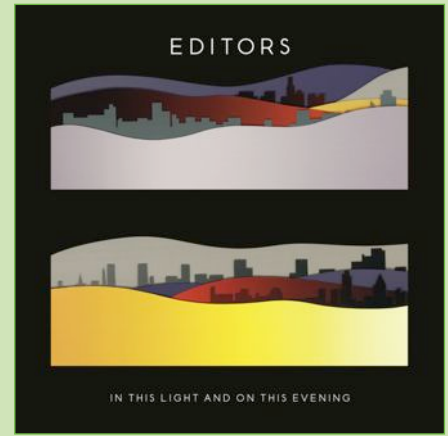
Mark Knopfler to założyciel i frontman Dire Straits. Kariera tego zespołu zaowocowała wieloma przebojowymi albumami. Knopfler popisywał się na nich nie tylko charakterystycznym głosem i umiejętnością pisania wpadających w ucho utworów, ale też świetną techniką gry na gitarze. Tę ostatnią możemy docenić również na jego płytach solowych; wśród nich na najnowszej - „Get Lucky”.

Niestety, zabrakło pozostałych elementów, które zdecydowały o sukcesie jego macierzystej formacji. Nie ma tu rockowego grania z czasów „Sultans of Swing” czy pomysłowości z okresu „Love over Gold”. Próżno też szukać żywiołowości znanej z „Alchemy”.

Pierwsze nagranie wita słuchaczy celtyckimi przyгыrkami. Dalej slychac sporo farmerskich przyśpiewek, a na zakończenie Knopfler raczy nas szantami. Uwagę przyciągają jedynie rozmarzone „Hard Shoulder” i urokliwe „Monteleone”. Ot taki sympatyczny walczyk. Słabo natomiast wypadają numery, które prawdopodobnie miały ożywić ospałą atmosferę całości. „Cleaning My Gun” ma wprawdzie trochę motorycznej siły, jednak głos Knopflera brzmi, jakby piosenkarz zasypiał.

O tym, że ostatnio były lider Dire Straits jest mniej dynamiczny, słyszałem już od osób, które były na jego polskim koncercie. Może to wiek, a może po prostu przejściowa melancholia. ■

Grzegorz Walenda



Editors In this Light and on this Evening

Pias 2009

Dystrybucja: ISound

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

Przez ostatnie cztery lata Editors, z kolejnego zespołu kopiującego Joy Division, wyrosli na drugą po Arctic Monkeys siłę na brytyjskiej scenie. Kluczem do sukcesu okazał się egzaltowany głos Toma Smitha i uproszczenie nowofalowej motoryki oraz brzmienia na potrzeby chwytliwych i mrocznych piosenek.

Po dwóch albumach, które pokryły się platyną, muzycy oficjalnie zapowiedzieli zmianę stylu i zatrudnili do produkcji Flooda, znanego ze współpracy z New Order, Soft Cell czy Depeche Mode. Ten wybór od razu sugeruje, w którą stronę postanowili się zwrócić. Singlowe „Papillon” budzi nawet skojarzenia z legendarnym „Blue Monday”. Na „In this Light and on this Evening” może i jest więcej syntezatorów rodem z lat 80., ale to raczej naturalna konsekwencja rozwoju niż rewolucja. Gdyby nie długa rozbiegówka „Bricks and Mortar” z motoryką Kraftwerku, utwór mógłby trafić na wcześniejszą płytę. Podobnie pełne elektronicznego patosu „Like Treasure”.

Niespodziankami mogą być jedynie „The Big Exit”, oparty na rytmie electro i stylizowany na Depeche Mode oraz najbardziej progresywny pod względem kompozycji „Eat Raw Meat = Blood Drool”. W ten sposób Editors nie tracą swojej obecnej publiczności, za to mają szansę podtrzymać dobrą passę i zdobyć nową. ■

Jacek Skolimowski